

NADINE GORDIMER

WŁODZIMIERZ LEDÓCHOWSKI, CZŁOWIEK DWÓCH ŚWIATÓW

Mam list od Włodka, na który nie odpowiedziałam. Zbyt długo zwlekałam. Aż stało się za późno. List jest, i s t n i e j e, teraz, tutaj, obok mnie. Ale on b y ł: ten precyzyjny wykład sytuacji politycznej, błysk ironicznego humoru, ta żywiolowa inteligencja, przechodząca nagle w uroczą serdeczność przypominają mi dotkliwie, że cechy te należą do czasu przeszłego.

Włodzimierz Ledóchowski. Podpisywał się swym dumnym brzmiącym pełnym imieniem, choć my, jego johannesburscy przyjaciele, lubiliśmy je zdrabniać. Stwierdzam ze zdziwieniem, że nie pamiętam pierwszego spotkania z nim i jego żoną, Basią. Mieli do tego stopnia stać się częścią najpełniejszego okresu mojego życia, że bogactwo przeżyć przesłania pierwsze wrażenia.

Ileż to lat upłynęło od pierwszego spotkania? Trzydzieści? Więcej? Nasza przyjaźń rosła na bogatej glebie głębokich przeżyć i wzajemnego zrozumienia.

Prawdopodobnie spotkałam ich na przyjęciu. Byłam młodą rozwódką z małym dzieckiem i zamieszkałam na przedmieściu Johannesburga, gdzie intelektualiści z pustą kieszenią mogli znaleźć tanie mieszkanie i sympatyczne towarzystwo. Mieszkali tam także Ledóchowscy. Ja, prowincjuszka z górniczego miasta Południowej Afryki, wyrosłego wokół kopalni złota, nigdy nie wyjechałam poza mój kraj; oni przybyli z wielkiego świata, gdzie wojenne i powojenne zawieruchy porzępdały narody i strzaskały bariery klas i kultur. „Hrabia Ledóchowski” był z innego świata w każdym znaczeniu tego słowa — przez pochodzenie, wychowanie, przeżycia, ale był człowiekiem w moim guście, a ja — w jego. Łączyła nas pasja dla świata idei — czytaliśmy te same książki, za-

chwycali nas ci sami poeci; rozprawy polityczne i analizy literackie pobudzały nas do niekończących się dyskusji i mimo całkowicie odmiennych doświadczeń życiowych połączyło nas to samo zaangażowanie w walkę z rasizmem południowoafrykańskim.

Przyjaźń pogłębiła się jeszcze, gdy ponownie wyszłam za mąż. Mąż mój, Reinhold Cassirer, także był uchodźcą z Europy i jak ja ciągnął do towarzystwa Ledóchowskich. Włodek i Basia, zachowując w pełni swoją rdzenną polskość byli niemniej ode mnie oddani sprawom mojego kraju. Nie chcieli żyć przywilejami białej kasty i włączyli się w walkę Murzynów o sprawiedliwość. Gdy okazało się, że Ledóchowscy wybrali dla swych synów szkołę Waterford-Kamhlabe, położoną po drugiej stronie granicy południowoafrykańskiej, w niepodległym państewku Swaziland, do której miał uczęszczać także nasz syn, więzy łączące obie rodziny wzmocniły się dodatkowo. Mało kto poza nami pojmował wtedy, że posyłając dzieci do szkół białej elity zawęży się im życie i ogranicza ludzkie kontakty. Odwożenie i przywożenie dzieci ze szkoły, podejmowane na zmianę przez nasze rodziny, zwielokrotniało spotkania, kończące się często odwiedzinami u wspólnych przyjaciół, Wicka i Mary Rozwadowskich, zamieszkałych w Swazilandzie.

Włodek niekiedy lubił się uskarżać na brak tradycyjnej dyscypliny w tej szkole. Dokuczałam mu, twierdząc, że wywody te są w całkowitej sprzeczności z jego zazwyczaj liberalnymi przekonaniami i przypisując je pozostałościom jezuickiego wychowania. Był zapalonym polemistą. Jakikolwiek temat pod słońcem poruszano, stawał do debaty i w moich przekonaniach powstawały zadry wątpliwości.

Piszę powieści, a jest w naturze pisarza mieć i roztrząsać wątpliwości. To, że Włodek był tak pewny swoich racji, stanowiło podniecające wyzwanie do dyskusji. Wychodził z niej przeważnie zwycięsko w wyniku płomiennego przemówienia, które przychodziło mu z łatwością, i wtedy wybuchał triumfalnym śmiechem, a jego błękitne, agatem prążkowane oczy iskrzyły się z uciechy, że tak wspaniale udał się pojedynek na słowa. Zwinność jego umysłu czemuś związała się dla mnie z jego osobliwością fizyczną: gestykulując, potrafił, wskutek obrażeń wojennych, zatoczyć pełne koło prawym przedramieniem, wyginając je pod kątem prostym w tył od łokcia.

Znajomość z Włodkiem pomogła mi znaleźć zadowalającą definicję człowieka kulturalnego: jest to człowiek otwarty na kultury inne i odmienne od rodzimej. Takim był Włodek. Tylu przybyszów z Europy spędza całe swoje życie na kontynencie afrykańskim w odcięciu od jego źródeł życiowych, bez kontaktu z jego przedkolonialnym podłożem, nie zdając sobie sprawy, że na nim budowana będzie przyszłość. Co najwyżej kultywują wrażliwość na przyrodę afrykańską i egzaltują się przywiązaniem do piękna tego kraju. Włodek nie należał do tych, co lekceważą ludność miejscową i żyją psychicznie tak, jakby nigdy nie opuścili Europy. Oboje z Basią włączali się w życie czarnej ludności na wielu poziomach: w organizacjach kościelnych, w świeckich zrzeszeniach liberalnych i radykalnych, wreszcie przez związki przyjaźni. Na sobotnich obiadach w domu przy Riverside

Road Potoccy zasiadali do stołu obok czarnych studentów. Opalone, kopulaste czoło Włodka można było dostrzec tak wśród czarnej widowni na przedstawieniach murzyńskich, jak wśród białych bywalców na koncertach muzyki kameralnej. Działał przede wszystkim w postępowym ruchu katolickim wspierając biskupów katolickich w Afryce Południowej i ich wystąpienia w obronie więzionych i torturowanych dysydentów. Widywano go też nierzadko na świeckich zebraniach protestacyjnych. Działalność ta ściągnęła na Ledóchowskich uwagę policji politycznej. Włodek miał powody, by sądzić, że przyczynili się do tego jego konserwatywni rodacy, którzy pacyfistyczną i humanitarną akcję Ledóchowskich przeciwko apartheidowi uważali za wymierzoną przeciwko przywilejom białych. Ufam, że jeśli ktoś z tej grupy przeczyta te słowa, odczuje wstyd i skruchę. W sam dzień Bożego Narodzenia odbył się najazd policji na prosty, gościnny dom przy Riverside Road, gdzie w którąś Wielkanoc wtajemniczono mnie w rytuały i gastronomiczne rozkosze tradycyjnego polskiego Świąconego. Nadzór policyjny nie zastraszył Ledóchowskich.

Włodka znałam przede wszystkim jako obywatela Afryki Południowej. W 1979 poznałam go jako Polaka. Moje książki przełożono na polski. Zostałam zaproszona na zjazd literacki w Toruniu. Na myśl, że poznam rodzinny kraj moich przyjaciół — Ledóchowskich, Wicka Rozwadowskiego, Witolda Domańskiego — którego miasta i krajobrazy związały się w mojej wyobraźni z ich osobami, ogarnęło mnie ogromne podniecenie. Włodek stwierdził natychmiast: „Skoro jedziesz do Polski, muszę Ci ją pokazać”. Słowa dotrzymał: po drodze z Rzymu zahaczył o Warszawę, by mnie tam powitać.

Samochodzikiem pożyczonym od przyjaciół zawiózł mnie do Krakowa. Zobaczyliśmy Nową Hutę i jej niezwykle nowy kościół, w którym postać Chrystusa rozpięta jest pod sufitem jak wzdęty wiatrem żagiel, a do Częstochowy przybyliśmy akurat w chwili, kiedy na krótko objawia się obraz Czarnej Madonny w zaskakującym obramowaniu taniutkich paciorków wotywnych. W Krakowie zaprowadził mnie na dykusję z profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a znając moje zamiłowanie do arrasów zorganizował wyprawę na Wawel. Gdy wchodziliśmy na zamek, przelotnie wskazał herby. Był wśród nich także herb jego rodu. Uczynił to w ramach oprowadzania, nie z arystokratycznej dumy. Dla Włodka istniała tylko arystokracja umysłów. Dzięki stosunkom, które nadal działały mimo wojny, rewolucji i długiej nieobecności w kraju, (a może dzięki niezwykle urokowi, na który były czułe wszystkie kobiety?) zwiedziliśmy zamek po godzinach urzędowych. Towarzysząca nam dyrektorka pozwoliła napatrzyć się do syta. Chodziliśmy po całym Krakowie. Włodek przesycił włoskie piękno miasta swoimi wspomnieniami i opowiadaniem. I, jak to wspomina na końcu swego ostatniego listu, wieczorem wyciągnęłam z walizki butelkę whisky. Sącząc ją, omawiał sytuację Polski, jasno, rzeczowo, jak miał w zwyczaju omawiać zmiany zachodzące w świecie. Nawet kiedy zapuszczał się we własną przeszłość nie stawał się człowiekiem przeszłości. W pełni żył teraźniejszością. W parę lat później wrócił do Polski na stałe. Także wtedy nie była to ucieczka w przeszłość, lecz nowa konfrontacja. Umarł

Nadine Gordimer
Włodzimierz Ledóchowski, człowiek dwóch światów

prawdopodobnie przez nadmierną dawkę życia, którego zawsze był żądny. Ostatni list pełen jest pasji dla problemów dwu światów, które złączyły się w jedno w jego wrażliwości: Polski i Afryki Południowej. Ten list, z odpowiedzią na który zwlekałam zbyt długo.

Więc i tym razem ostatnie słowo należało do Włodka. Jak zawsze. W pewnym sensie rada jestem, że to stwierdzenie będzie hołdem złożonym jasności jego umysłu i ducha. My, kochający przyjaciele, zawdzięczamy Mu dar inspiracji i radości.

NADINE GORDIMER

ZESZYTY



25 ZIMA 1989

LITERACKIE

PARYŻ

ROK VII